

Dwa oblicza przyrody albo ostatni szlak Supertrampa

Pamięci Christophera McCandlessa i wszystkich tych, którzy weszli w dzicz i zostali przez nią obdarowani, ale nie dali sobie szansy na powrót.

Przyroda postąpiła z nim okrutnie, ale – z właściwą sobie surowością – sprawiedliwie. Najpierw dała mu to, czego szukał, a potem pozbawiła go tego – wraz z życiem. Za to, że ją zlekceważył.

Zwłoki Christophera McCandlessa ważyły nieco ponad trzydzieści kilogramów. Umierał powoli i w bólu, ponieważ śmierć głodowa wypełnia ciało trudno wyobrażalnym fizycznym cierpieniem. Jego wychudzone truchło znaleźli myśliwi polujący w okolicy miejscowości Stampede na Alasce. Autobus, który McCandless – albo, jak sam siebie nazywał, Alexander Supertramp – zajmował jako dom w alaskańskiej tajdze służył też za schronienie lokalnym entuzjastom polowań. I pewnie dlatego jego ciało w ogóle odnaleziono.



Plakat z filmu *Into the Wild* (Wszystko za życie) o wędrowce Christophera, w reżyserii Seana Penna

Zagubić się w dziczy

Podróż na Alaskę miała być ukoronowaniem jego prawie dwuletniej wędrówki. Włóczył się po całych Stanach Zjednoczonych, zaliczył nawet kawałek Meksyku. Żył z dnia na dzień, zaczytując się w Londonie i Tolstoju. Pracował dorywczo. Kiedy zdobył potrzebną mu ilość gotówki, rzucał robotę, by kontynuować życie wagabundy. Spał na ulicy albo w namiocie. Czasem nie dojeżdżał, ale czuł się wolny, co rekompensowało mu burczenie w brzuchu. Żył tak, bo w środku – z właściwą dla dwudziestokilkulatka intensywnością – palił go ogień sprzeciwu względem tego, co uważał za cywilizacyjną hipokryzję.

Mimo znakomitej sytuacji materialnej – jego ojciec był uznanym inżynierem NASA, który założył świetnie prosperującą firmę zajmującą się konsultingiem technologicznym – nie potrafił pogodzić się z tym, co dla wielu było spełnieniem amerykańskiego snu o sukcesie życiowym. Dla niego był to fałsz ubrany w szaty mieszczańskiego życia. Nie chciał, a przede wszystkim nie potrafił, się z tym pogodzić. I chyba to pchnęło go na włóczęgowski szlak.

Tam chciał odnaleźć siebie. Odkryć wartości, które pozwoliłyby mu wieść w przyszłości satysfakcjonujące, pełne znaczenia życie. Inne od tego, które było udziałem jego rodziców i wielu innych sytych przedstawicieli amerykańskiej klasy średniej. Już na Alasce zanotował (zawsze pisał o sobie w trzeciej osobie): „Teraz, po dwóch latach wędrówki, nadchodzi najważniejsza i największa przygoda. Ostateczny bój, aby zabić fałszywe istnienie wewnętrzne i zwycięsko zakończyć rewolucję duchową. Nie będzie już zatruwany przez cywilizację, od której ucieka; wchodzi samotnie w krainę, by zagubić się w dziczy”.

Jednak już cztery miesiące później egzaltowany młodzieńczy entuzjazm ustąpił przerażeniu. Wychudzony, z narastającą świadomością zbliżającej się śmierci głodowej, napisał na kartce, którą przykleił do drzwi swego blaszanego domu: „SOS. Potrzebuję pomocy. Jestem ranny, bliski śmierci i za słaby, by się stąd wydostać. Jestem zupełnie sam, to nie są żarty. Na miłość boską, pozostanie tutaj, żeby mnie ratować. Wyszedłem zbierać jagody w pobliżu i wrócę wieczorem. Dziękuję, Chris

Dobrzy pionierzy i zła przyroda

Czym jest dzicz? Niekiedy używa się słowa „pustkowie”. Ale nie oznacza to przecież, że „tam” nic nie ma. Wręcz przeciwnie, rosną drzewa, żyją zwierzęta, płyną rzeki i strumienie. Jest to więc pustkowie tylko w tym sensie, że nie ma ludzi. Nie ma cywilizacji: miast, fabryk, autostrad i rozjeżdżających je samochodów. Jest to przestrzeń, w którą nie ingeruje człowiek i która rządzi się własnymi prawami. Jest tylko przyroda.

Ciekawe, że tylko człowiek cywilizowany dzieli świat w taki sposób: na to, co dzikie oraz na to, co oswojone, czyli – po prostu – cywilizowane. Chciałoby się powiedzieć: znane, udomowione, bezpieczne. Ludy pierwotne – te, które nigdy nie porzuciły łowiecko-zbierackiego trybu życia – nie znają tego dualizmu. Dla nich nie ma żadnego podziału na to, co ludzkie – kulturowe, cywilizowane – i na to, co naturalne, dzikie. Żyją w świecie jedności, w którym ludzie, rośliny, zwierzęta i ziemia składają się na nierozdzielalną i harmonijną całość. Wyobcowanie od przyrody, ten koszmarny twór cywilizowanego życia, uzewnętrznia się więc nawet w języku.

Dzicz ma w zachodniej kulturze na ogół negatywne konotacje. Mówimy, że ktoś jest „dzikusiem”, czyli kimś nieokrzesanym, głępszym, brutalnym. Morderca, który popełnił odrażającą zbrodnię, jest człowiekiem „zezwierzęconym”. „Jesteś brudny jak świnia!” – krzyczą matki na chłopców wracających z piaskownicy. Można mnożyć tego rodzaju przykłady, które każdy, przy odrobinie uwagi, z łatwością zaobserwuje w codziennym zastosowaniu języka. Wszystkie one wiążą z dzikością głównie negatywne treści. Można na ich podstawie zrekonstruować stosunek do przyrody typowy dla cywilizacji Zachodu, który akceptuje ją o tyle, o ile jest zdominowana i zaprzęgnięta w służbę ludzkich potrzeb. Kiedy nie jest – no właśnie – dzika.

Ten sposób myślenia był obecny w kulturze amerykańskiej od jej zarania. Uformowała ją idea Objawionego Przeznaczenia (*Manifest Destiny*). Wedle jej apologetów – takich jak purytański duchowny Cotton Mather – Bóg przekazał Amerykę Północną we władanie białym. Powierzoną im z Niebios misją było zaprowadzenie cywilizowanego porządku na ogromnym kontynencie. „Osadnicy wyraźnie wyczuwali – pisze amerykański historyk Roderick Nash – że walkę z dzikim krajem toczą nie tylko o własne przetrwanie, lecz także w imię narodu, rasy i Boga. Cywilizowanie Nowego Świata oznaczało rozświetlanie ciemności, porządkowanie chaosu i przemianę zła w dobro. W moralitecie podboju Dzikiego Zachodu czarnym charakterem była dzika przyroda, bohaterem zaś pionier, którego radowało jej niszczenie”. Alexis de Tocqueville, francuski myśliciel polityczny, w reportażu ze swej młodzieńczej podróży do Stanów Zjednoczonych („Piętnaście dni w pustkowiu”) zauważył, że krajobrazy, które jemu zapierały dech w piersiach, nie robiły żadnego wrażenia na zamieszkujących je osadnikach. Oni widzieli w nich jedynie place budowy, na których w przyszłości powstaną wielkie miasta, pola uprawne i fabryki.

Całe szczęście, na obrzeżach zachodniej kultury – również amerykańskiej – istnieją idee, które prezentują zgoła odmienny stosunek do tego, co niecywilizowane.

Powiadam wam, w dzikości jest przetrwanie świata

„Na pustynię – pisał Paul Shephard – wędrują prorocy i pustelnicy; przez pustynię idą pielgrzymi i wygnańcy. Tu właśnie przywódcy wielkich religii szukali terapeutycznych i duchowych wartości. Samotni; nie, aby uciec, lecz by odnaleźć rzeczywistość”. Właśnie – nie uciec, ale odnaleźć: rzeczywistość, siebie, wartości. W takiej perspektywie to, co ludzkie, kulturowe i cywilizowane

czepie życiodajne soki z tego, co dzikie. Ten, kto zapuszcza się w dzicz, idzie tam po to, by się odnowić albo nawet uleczyć. Opuszcza przestrzeń tego, co kulturowe i cywilizowane, bo tam nie znajduje odpowiedzi na dręczące go pytania. Musi więc wrócić w otchłań przyrody: do źródła wszystkiego tego, co go uformowało. Idzie do źródła wszystkich sensów w nadziei na to, że odkryje to, czego poszukuje.

Wyjście z przestrzeni cywilizowanej w obszar dzikości jest aktem o podwójnej naturze – tak fizycznej, jak i symbolicznej. Fizycznej, bo – co oczywiste – polega na wyprowadzce, na dłuższy bądź krótki czas, na przykład z miasta do lasu. Symbolicznej lub – jak kto woli – duchowej, ponieważ idzie w nim o opuszczenie kulturowego ładu celem nawiązania kontaktu z tym, co go z jednej strony poprzedza (chronologicznie) a z drugiej – stanowi jego podstawę. Dzięki temu możliwe jest otwarcie się na obszar doświadczenia nie mający charakteru kulturowego, ale pierwotny i źródłowy. Po prostu – dziki.

Wydaje się, że ten mechanizm doskonale rozumiały ludy pierwotne. Opracowały one liczne rytuały, które polegały właśnie na czasowym opuszczeniu wspólnoty w celu przeżycia doświadczenia rewitalizacji w naturalnym otoczeniu. Czymś takim było (i jest, także coraz częściej praktykowane również przez białych) indiańskie poszukiwanie wizji (*vision quest*). W samotności, wśród dzikiej przyrody, nie pijąc wody i powstrzymując się od snu oraz jedzenia czekali na znak – wizję, która pozwoli im dalej pokierować swoim życiem, znaleźć nowe sensory i lepiej zrozumieć stare. Nie trzeba jednak szukać wśród ludów pierwotnych. I na Zachodzie zdarzali się tacy, którzy udawali się na pustkowie, by napełnić swoje życie znaczeniem.

Jednym z najbardziej znanych samotników, którzy szukali mądrości w dziczy, był Henry David Thoreau. Przez trzy lata mieszkał on w skromnej chacie nad Jeziorem Walden. Tam też stworzył swoją najbardziej znaną książkę, czyli „Walden”, w której napisał: „Powiadam wam, w dzikości jest przetrwanie świata [...]. Dzikość jest istotą życia. Najpełniej żyje to, co najbardziej dzikie. Jeśli jeszcze dzikość nie jest ujarzmiona przez człowieka, jej obecność ożywia go i pokrzepia [...]. Kiedy pragnę się odrodzić, szukam najciemniejszego lasu, najgęstszy i najbardziej nieprzebytego, szukam najbardziej odludnych mokradeł, z dala od zgiełku miast. Wchodzę tam jak do świętego miejsca, sanctum sanctorum. Tam właśnie tkwi moc, istota Natury. Mówiąc krótko, wszystko co dobre, jest dzikie i wolne”.

Nie bez powodu Thoreau wiąże dzikość z wolnością. Opuszczenie cywilizacji oznacza bowiem również wyjście poza normy, które w niej obowiązują. Wejście w dzicz jest zanurzeniem się w przestrzeń pierwotnego i nieujarzmionego chaosu, pulsującego jeszcze niewyrażonymi treściami, które potrzebują umysłu, w którym mogłyby zaistnieć i które mogłyby ożywić. Dlatego doświadczenie dzikości jest doświadczeniem ozdrowieńczym. Jak pisze Thoreau – niech idzie w las każdy, kto chce się odrodzić. Nowy początek możliwy jest tylko przez powrót do łona, które nas wydało.

Nie tylko filozofowie i duchowi poszukiwacze rozumieli ten ozdrowieńczy potencjał tkwiący w leśnych ostępach i górskich szczytach. Fridtjof Nansen, norweski podróżnik i odkrywca, napisał: „Konieczne jest, byśmy zwrócili się do bardziej ludzkiej egzystencji, trzeba tylko zacząć żyć w przyrodzie, być w lesie, wspiąć się na wysokogórskie szczyty, gdzie napływające myśli pozostawiają ślad, który trudno usunąć [...]. Wtedy można zobaczyć swoje prawdziwe »ja«. Potem wracasz z prawdziwszym, świeżym poglądem na życie, którego nie osiągnąłbyś będąc w mieście [...] W najdzikszych lasach, w samotności, z dala od hałasu i zgiełku – oto miejsce, gdzie tworzy się osobowość człowieka”.

Nansen podkreśla bardzo ważną rzecz, która stanowi integralny element pobytu w dziczy. Jest nią dystans. Również on ma podwójną naturę: fizyczną i symboliczną. Ta pierwsza jest oczywista – bytując w przyrodniczym otoczeniu jesteśmy z dala od naszych codziennych spraw: rodziny, pracy,

znajomych, miejsca zamieszkania. Ale jest to również dystans w głębszym, bardziej metaforycznym, sensie. To oddalenie od zwyczajów, norm, konwenansów, toksycznych wpływów. Od całego sztafażu wiążącego się z życiem w społeczeństwie. Ten dystans pozwala na przemyślenie tego, co nas otacza w codziennym życiu i sposobu, w jaki to na nas oddziałuje. Daje szansę na ponowne przemyślenie tego, kim jesteśmy i kim chcemy być. Właśnie, daje szansę odrodzenia się.

Nie bez znaczenia w tym wszystkim jest i to, że pobyt poza cywilizacją wymusza na nas – niekiedy radykalne – ograniczenie potrzeb życiowych. Nie ma tu praktyki, cyfrowej telewizji, kubka gorącej herbaty na zawołanie. Zabezpieczenie elementarnych potrzeb wymaga niekiedy uporczywej walki z przeciwnościami, które przybierają kształt chłodu, mokrego drewna, deszczu i silnego wiatru. Tu niczego nie ma za darmo. Wszystko trzeba zdobyć samemu. Jednak i to ma swój terapeutyczny aspekt. Wzmacnia bowiem naszą wewnętrzną moc, bo przekonanie o własnej sile płynie przecież z pokonanych przeciwności.

Ale to nie jedyna wartość wyrzeczenia. W dziczy bardzo szybko wychodzi na jaw co jest ważne, a co nie. Bez czego możemy się obyć, a czego nieodzownie potrzeba nam do życia. Co ma rzeczywistą wartość, a co jest jej pozbawione. Dzikość jest sitem, które odsiewa wartości fałszywe od prawdziwych. I nie chodzi wcale tylko o to, co jest ważne dla przeżycia biologicznego. Jeśli w ciszy lasu wewnętrzny głos poinformuje Was, że Wasze życie nie ma sensu, to bądźcie pewni, że to odczujecie. Być może nawet bardzo boleśnie. I tylko do Was będzie należała decyzja, czy zawrócicie w stronę miasta i jego gwaru, który zagłuszy tę ważną prawdę. A może znajdziecie w sobie dość odwagi, aby tej ciszy sprostać i pozostać wśród drzew. Aby wśród nich poszukać tej najważniejszej rzeczy, której waszemu życiu brakuje. Droga w głąb lasu jest drogą do samego siebie.

Wyprawa po sens

Nie ulega wątpliwości, że McCandless – mniej lub bardziej świadomie – wiedział o tym wszystkim. Właśnie ta świadomość terapeutycznej mocy przyrody pchała go na północ, w ostępy alaskańskiej tajgi. Podróż McCandlessa na Alaskę była wyprawą po sens. Miała zamykać okres jego dwuletnich wojaży. Po samotnym pobycie w głębi oczekiwał niewątpliwie odpowiedzi na dręczące go pytania o to, co ma zrobić z resztą swojego życia. Czy je znalazł? Pozostawione przezeń zapiski sugerują, że tak. Na marginesie książki Tołstoja, którą miał ze sobą, odnotował: „Jestem odrodzony. To mój świt. Prawdziwe życie właśnie się zaczęło”.

Jaką wielką prawdę odkrył Alexander Supertramp? Jego notatki w tej kwestii są lakoniczne, choć zdradzają podniecenie uzyskaną jasnością widzenia spraw fundamentalnych. Choć są mało zrozumiałe, to jednak warto je przytoczyć:

„Świadome życie: Zwrócenie uwagi na podstawowe sprawy, stałe obserwowanie najbliższego otoczenia i jego problemów, na przykład: Praca, zadanie, książka – wszystko, co wymaga wzmożonej koncentracji. (Okoliczności nie są nic warte. Wartość ma tylko to, jaki ma się stosunek do sytuacji. Prawdziwe znaczenie polega na osobistym stosunku do zjawiska, czyli tego, co dla ciebie ono znaczy).

Wielka Świętość Pożywienia, Najważniejszego Ciepła.

Pozytywizm, Nieprześcigniona Radość Estetyki Życia.

Absolutna Prawda i Uczciwość.

Rzeczywistość.

Niezależność.

Ostateczność – Stałość – Konsekwencja”.

Kilka dni później, na odwrocie innej książki zapisał słowa, które są już łatwiejsze do rozszyfrowania: „Szczęście prawdziwe, tylko gdy dzielone”. Czy to było *clou* prawdy, którą odkrył? A może tylko jej część? Tego nigdy się nie dowiemy. Zresztą ważne jest to, że on miał poczucie tego, iż znalazł coś, co napełniło jego życie jasnością. Być może dla kogoś innego byłoby to banalne. Ale to nie jest ważne – Supertramp znalazł to, po co przybył. I tylko to się liczy.

Kilka dni później zdecydował się opuścić zdezelowany autobus, który przez ostatnie miesiące był jego domem. Chciał wrócić do cywilizacji. Już się nie dowiemy, co planował po powrocie z Alaski. Wiemy jednak na pewno, że to był już kres jego tułaczki w poszukiwaniu sensu życia.

Drogę powrotną odcięły mu wzburzone wody rzeki. Kilka miesięcy wcześniej przekraczał ją, gdy była jeszcze zamrznięta. Teraz wezbrane fale toczyły masy wody niemożliwe do przebycia wpeław. Zaczął się dramat Christophera McCandlessa.

Życie na pustkowiu to nie piknik

W noweli „Rozniecić ogień” Jack London – jeden z ulubionych pisarzy McCandlessa – opisuje ponurą historię bezimiennego trapera. Wędruje on samotnie przez zimowe lasy Jukonu. Jest nowicjuszem, o czym informuje nas narrator. To jego „pierwszy raz” w dziczy. Ignoruje rady starszych stażem kolegów, by nie wędrować przez las, gdy temperatura spadnie poniżej -50°C . Przez nieuwagę moczy nogi. Przy takiej temperaturze oznacza to odmrożenia, a przy wyjątkowym pechu – wyrok śmierci (nie da się iść na zamrzniętych nogach). Dlatego próbuje rozpaść ogień, by osuszyć stopy i buty. Bezskutecznie. Zesztywniałe od mrozu dłonie nie radzą sobie z maleńkimi zapałkami. Patyczki rozsypują się po śniegu. Znużony traper siada w zaspie. I już tak zostaje. Na zawsze. Bezimiennosc trapera – świadomy zabieg literacki Londona – podkreśla grozę jego anonimowej śmierci w tajdze. Czy McCandless czytał to opowiadanie?

Zaledwie pięć kilogramów ryżu, kiepskie turystyczne buty, przeciętne ubranie, karabin kaliber .22, niedostosowany do łowów na grubego zwierza. To Supertramp zabrał ze sobą na Alaskę. Nie miał śniegowców, siekiery, piły, kompasu ani mapy. Nie wziął też repelentów przeciw owadom, które letnią porą w tajdze są wyjątkowo uciążliwe (Inuici z terenów położonych bardziej na północ widzieli całe stada karibu uciekające przed chmarami małych krwiopijców). Plecak McCandlessa ważył niewiele ponad dziesięć kilogramów. To zdecydowanie za mało, jak na planowany kilkumiesięczny pobyt w lasach Alaski. Za mało wszystkiego: prowiantu, sprzętu, ubrań. Jim Gallen, ostatni, który widział Supertrampa żywego, doświadczony człowiek Północy: „Ludzie z zewnątrz łapią pierwszy lepszy numer magazynu »Alaska«, przejrzą i myślą sobie: pojedę tam, będę żył darami natury i nareszcie znajdę swoje miejsce w życiu. Ale kiedy już się tu znajdą i naprawdę wejdą w dzikość, okazuje się, że nie jest dokładnie tak, jak pisano w magazynie. Rzeki są szerokie i rwące, komary zżerają żywcem. W wielu miejscach nie ma zbyt dużo zwierzyny, na którą można polować. Życie na pustkowiu to nie piknik”. Gallen starał się odwieść Supertrampa od tripu jego życia, ale nie udało mu się. Na wszelkie wątpliwości tubylca McCandless miał gotową odpowiedź. Był bardzo pewny siebie i głęboko przekonany, że nic złego nie może mu się stać.

Notatki, które Supertramp pozostawił po sobie zdradzają jego brak realizmu dotyczący życia bez cywilizacyjnych udogodnień. Nie potrafił zaakceptować tego, że musi zabijać, by żyć. Wmawiał sobie, że złowione ryby wcale go nie nasyciły, co mogło być prawdą, ale nie dlatego, że rybnie mięso nie zaspokaja głodu, ale z tego względu, iż zawiera niewiele tłuszczu. Bardzo przeżył to, że zastrzelił łosia. Dobijało go, że nie potrafił zakonserwować jego mięsa, przez co upolowane zwierzę

w większości się zmarnowało. „Wierzę - pisał - że każdy, kto chciał zachować swoje wyższe czy poetyckie zdolności w najlepszej formie, był szczególnie podatny na powstrzymywanie się od pokarmów mięsnych i w ogóle od nadmiaru wszelkiego pożywienia...”. No cóż, wegetarianizm to luksus życia cywilizowanego. W dziczy nie ma miejsca na nadwrażliwość. Reguły są tu jasno określone. Stara prawda o tym, że życie żywi się życiem, jaśniej tu ponurym blaskiem. Sytość jednych oznacza cierpienie i śmierć drugich. Ten, kto nie potrafi tego zaakceptować, nie ma czego szukać w pustkowiu.

Fatalnym błędem okazał się być brak mapy okolicy. Gdyby ją miał, to wiedziałby, że w niedużej odległości od obozowiska jest miejsce, gdzie można przekroczyć wezbraną rzekę. Gdyby to zrobił, być może dziś zaczytywalibyśmy się książką, którą pewnie napisałby po powrocie. Niestety, pozostały tylko skromne notatki i stosik zdjęć pokazujących człowieka, który z tygodnia na tydzień coraz bardziej przypomina szkielet.

Christopher McCandless nie był przygotowany do wyprawy swojego życia ani technicznie, ani mentalnie.

Dwa oblicza przyrody

Historię alaskańskiej eskapady Supertampa czyta się jak ponury moralitet. To opowieść o poszukiwaniu sensu, jego odnalezieniu i - ostatecznie - niemożności jego spożytkowania. To dzieje życia, w pewnym sensie, niespełnionego, które skończyło się wtedy, kiedy miało na nowo się zacząć.

Ale jest to również narracja o dwóch obliczach przyrody. Pierwsze z nich emanuje znaczeniami i sensami ukrytymi pod omszałymi korzeniami i szumiącymi wśród koron najwyższych drzew. Można w nim odnaleźć odpoczynek i sens, za którym się tęskni. Ale drugie z nich jest inne. Tak samo piękne, jak i obojętne. Próżno szukać w nim cienia współczucia dla niezliczonych organizmów, które od zamierzchłych czasów tkwią w szprychach koła życia i śmierci. Nie wolno zapomnieć o żadnym z oblicz natury. Należy oddać szacunek każdemu z nich. Jedno i drugie należy zaakceptować, jeśli chce się znaleźć swoje miejsce w porządku stworzenia.

McCandless widział pierwsze, ale stracił z oczu drugie. I to go zabiło.

Robert Jurszo

Robert Jurszo, ur. 1981, instruktor sztuki przetrwania i eseista ekologiczny. Uporczywie twierdzi, że urodził się za późno - o jakieś 12 000 lat. Prowadzi bloga survivalowego: zdziczenie.blogspot.com.

Podczas pisania korzystałem m.in. z książki Johna Krakauera „Wszystko za życie”. Na jej podstawie Sean Penn nakręcił film o tym samym tytule.